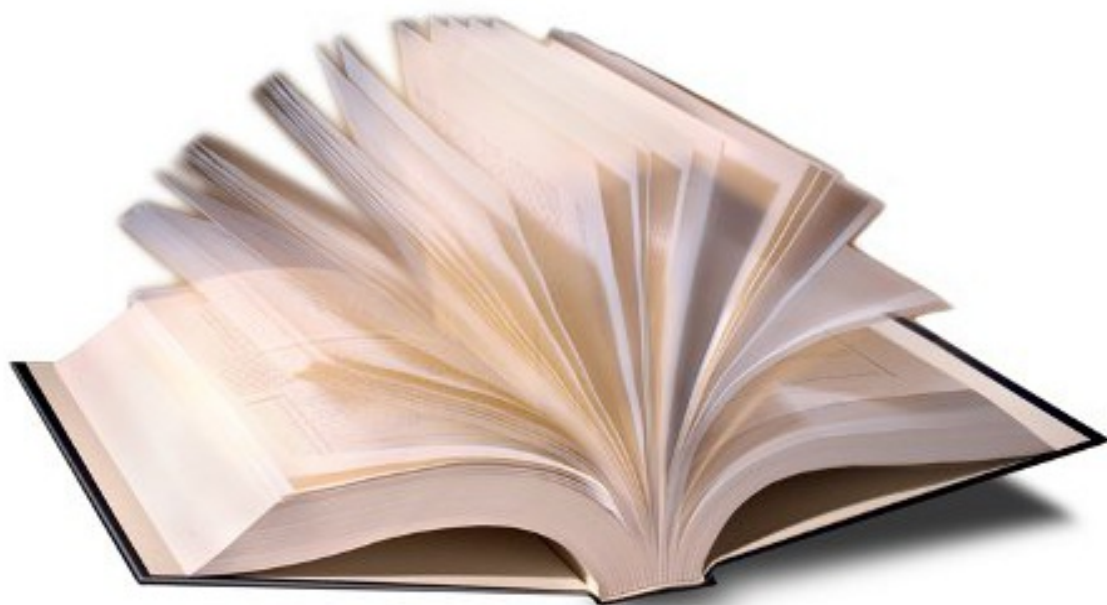


Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

WRÓG ŚWIATA

Jack London

Człowiekiem, który pokonał ostatecznie uczonego czarownika i arcywroga ludzkości, Emila Glucka, był Silas Bannermann.

Wyznanie Glucka, przed zawleczeniem go na elektryczne krzesło, rzuciło snop światła na szereg wypadków, z których nie wszystkie doszły do naszej świadomości, a które tak straszliwie wstrząsały światem w latach 1933-1941. Dopiero z chwilą ogłoszenia tego zdumiewającego dokumentu zrodziło się w umysłach ludzkich przypuszczenie, że zachodzić może związek jakiś pomiędzy zamordowaniem króla i królowej Portugalii a zbrodniami, dokonanymi na osobach policjantów nowojorskich.

Pomimo że czyny Emila Glucka były nieprawdopodobnie potworne, trudno oprzeć się pewnemu uczuciu litości dla nieszczęsnego, zwyrodniałego, zmaltrretowanego geniusza. Dzieje jego nie były nigdy rozpatrywane z tego punktu widzenia, zaś mnóstwo faktów, protokołów i dokumentów z owego czasu daje nam możliwość odtworzenia jego względnie wiernego wizerunku oraz zdania sobie sprawy z czynników i wpływów, które urobiły z niego w następstwie potwora w ludzkiej postaci i skierowały go na wynaturzoną drogę, po jakiej stale odtąd kroczył.

Emil Gluck urodził się w stanie Nowy Jork, w Syrakuzach, w 1895 roku. Ojciec jego, Józef Gluck, policjant i stróż nocny, umarł nagle na zapalenie płuc w 1900 roku. Matka — ładna, wątpa istota, która przed ślubem zajmowała się modniarstwem, zamartwiła się na śmierć utratą męża. Nadwrażliwość matki, przekazana dziedzicznie chłopcu, rozwinęła się u niego w sposób chorobliwie potworny.

W 1901 roku maty Emilek, wówczas sześciolatek, zamieszkał u ciotki, pani Anny Bartell. Była ona siostrą jego matki, mimo to nie tliła się w niej ani krztka żywszego uczucia dla wrażliwego, wylęknionego dziecka. Anna Bartell była kobietą zimną, płytką i bezlitosną. Ciężka nadto na niej podwójna klątwa: ubóstwa i posiadania leniwego, wiecznie wałęsającego się, o nic nie dbającego męża. Chłopiec był niepożądanym gościem w domu ciotki ! nikt lepiej od Anny Bartell nie potrafiłby dać mu tego do zrozumienia. Wymowną ilustracją traktowania go przez nią w owym wczesnym okresie kształtowania się duszy dziecięcej jest fakt następujący:

W rok mniej więcej po wprowadzeniu się do domu Bartellów złamał chłopiec nogę. Wypadek ten zdarzył się w trakcie surowo zakazanej zabawy na dachu, co czynią, czynili i czynić będą wszyscy do końca świata chłopcy, nie umiejący oprzeć się urokowi rzeczy zakazanej. Noga złamana była w dwóch miejscach pomiędzy kolanem a biodrem. Przy pomocy wystraszonych towarzyszy udało się Emilcowi dowlec na chodnik przed domem, ale tutaj, wyczerpany bólem, zemdłał. Wszystkie dzieci w sąsiedztwie bały się szkaradnej sekutnicy, dzierżącej władzę w domu Bartellów; zdobywszy się wszakże *na* odwagę, zadzwoniły i opowiedziały jej o wypadku. Ale megiera ani spojrzała nawet na biedne dziecko, leżące bez duszy na ścieżce, zatrzasnęła drzwi i powróciła do swojej balii. Czas mijał, zaczął kropić deszcz i malec, zbudzony z omdlenia, leżał łkając i jęcząc z bólu. Noga powinna być nastawiona bezzwłocznie. W danym stanie rzeczy rozwijało się szybko zapalenie, zaogniające sprawę w sposób fatalny. Wreszcie, po dwóch godzinach, oburzone kobiety z sąsiedztwa

natarły ostro na nieludzką ciotkę, która zdecydowała się wreszcie wyjść i spojrzeć na chłopca. Kopnąwszy leżącego bezradnie u jej nóg, zaczęła wrzeszczeć jak opętana, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Nie jest jej dzieckiem, dowodziła, radziła więc wezwać pogotowie Czerwonego Krzyża, aby zabrało go do szpitala. Po czym weszła z powrotem do domu.

W tej chwili nadeszła jednak jeszcze jedna z sąsiadek, Elżbieta Shepston, która dowiedziawszy się, co zaszło, zakrzętała się od razu, aby ułożyć chłopca na noszach, wezwała lekarza! usunąwszy na bok protestującą gwałtownie Annę Bartell pomogła wnieść chorego do domu. Czująca ciotka uprzedziła od razu doktora, że nie ma zamiaru płacić za wizyty.

Dwa miesiące leżał mały Emilek w łóżku, przez pierwszy miesiąc na wznak, i nikt ani razu nie pomyślał o odwróceniu go na bok ani o zmianie pościeli. Leżał opuszczony i samotny z wyjątkiem kilku przypadkowych odwiedzin nie opłacanego, przepracowanego lekarza. Nie miał zabawek, nic, czym mógłby skrócić długie godziny nudy. Nikt nie zwrócił się do niego z łagodnym słowem, nigdy miętka dłoń nie spoczęła kojąco na jego czole, nie doznał od nikogo pieszczoty ani dowodu współczucia — nic prócz wymówek i szorstkich uwag Anny Bortell, która nieustannie wymawiała mu, że niepotrzebnie zwałił się jej na głowę.

Łatwo zrozumieć, ile wśród takiego otoczenia musiało nagromadzić się w duszy samotnego, opuszczonego dziecko nienawiści dla bliźnich i goryczy, które w przyszłości miały znaleźć wyraz w czynach straszliwych, piorunujących świat.

Dziwnym może się wydać, że, pozostając pod opieką Anny Bartell, mógł Emil Gluck uczęszczać na studia. Powód był wszakże zupełnie prosty. Jej nie dbający o nic, wiecznie rozpróżniony mąż opuścił ją i, natrafiwszy na żyłę złotodajną w kopalniach Newady, powrócił do domu jako wielokrotny milioner. Anna Bartell nienawidziła siostrzeńca, wysłała go też niezwłocznie do odległej o setki mil Akademii w Farrington.

Nieśmiały i wrażliwy, samowolny i przez nikogo nie zrozumiany chłopiec czuł się w Farrington bardziej jeszcze osamotnionym niż gdziekolwiek. Nie wracał nigdy do domu na święta i wakacje jak inni koledzy. Łaził po pustym gmachu i po opuszczonych przez uczniów ogrodach i łąkach, czytał bardzo wiele, spędzając dni całe na dworze lub przed kominkiem z nosem wiecznie utkwionym w stronie książki. W tym właśnie czasie nadwreżył wzrok i zmuszony był nosić szkła, stanowiące tak wydatny rys na podobiznach jego, publikowanych w czasopiśmie z roku 1941.

Był uczniem niezwykłym. Pilność taka jak jego wystarczyłaby, aby zaprowadzić go bardzo daleko; wcale mu ona jednak nie była potrzebna. Dość mu było rzucić okiem na jakiś tekst, aby opanować go w zupełności. Wynikiem tego była olbrzymia suma dokonanych studiów, które umożliwiły mu nagromadzenie w ciągu półrocza takiego zasobu wiedzy, jaki przeciętny uczeń zdobywa w ciągu sześciu conajmniej lat.

W 1909 roku, mając czternaście lat, był przygotowany — „bardziej niż gotów“ — jak wyraził się główny dyrektor Akademii — do wstąpienia na uniwersytet Yale albo Harwarda. Młody wiek był mu jedyną w tym kierunku przeszkodą i dlatego w 1909 roku znajdujemy go na liście nowicjuszków w klasycznym kolegium Bowdoinowskim. W 1913 został możliwie najzaszczytniej promowany i pojechał z profesorem Bradlonghkiem do Berkeley w Kalifornii. Jedynym przyjacielem, jakiego spotkał Gluck w całym swoim życiu, był profesor Bradlongh. Słabe płuca profesora zniewoliły go do przeniesienia się ze stanu Maine do Kalifornii, zwłaszcza że przenosiny umożliwiła katedra, jaką ofiarowano mu w uniwersytecie stanowym.

W ciągu całego 1914 roku przebywał Emil Gluck w Berkeley, uczęszczając na specjalne wykłady naukowe. Ku końcowi tego roku dwa zgony zmieniły jego widoki na przyszłość i jego stosunek do świata. Śmierć profesora Bradlongha pozbawiła go jedyne go przyjaciela, jakiego danym mu było

posiadać w całym życiu, a śmierć Anny Bartell pozostawiła go bez środków utrzymania. Nienawidząc siostrzeńca do końca dni swoich, wydziedziczyła go zupełnie poza marną jakąś setką dolarów.

W następnym roku, jako dwudziestoletni młodzieniec, mianowany został Instrukтором chemii w uniwersytecie kalifornijskim. Lata upływały mu tutaj spokojnie. Spełniając sumiennie ciężką, dającą mu zarobek pracę, nie przestawał zarazem Emil uczyć się w dalszym ciągu i uzyskał jeszcze z pół tuzina stopni naukowych. Był, między innymi, doktorem socjologii, filozofii i nauk ścisłych, jakkolwiek w późniejszych latach znany był światu jedynie jako profesor Gluck.

Miał dwadzieścia siedem lat, kiedy po raz pierwszy głośno zaczęło robić się o nim w prasie dzięki wydanej przez niego książce: „Płeć i postęp“. Dzieło to pozostaje do dnia dzisiejszego podstawowym w dziedzinie historii i filozofii małżeństwa. Ogromny, liczący z góra siedemset stronic, tom opracowany jest z niezwykłą starannością i ścisłością, a zarazem ze zdumiewającą oryginalnością. Był on przeznaczony dla ludzi nauki, a nie dla wzburzenia ogółu. Ale autor w ostatnim rozdziale, poświęciwszy tej kwestii trzy wiersze jedynie, wspominał — w sposób hipotetyczny — o tym, że pożądane byłyby małżeństwa na próbę. Pisma podchwyciły od razu owe trzy wiersze, „przejechały się po nich zdrowo“, jak się wówczas mówiło potocznie, i ośmieszyły w oczach całego świata dwudziestosiedmioletniego profesora w okularach. Fotografowie czyhali na niego ze swoimi migawkami, reporterzy oblegali go, dokądkolwiek się ruszył, kluby kobiece w całym kraju ogłaszały rezolucje, potępiające jego i niemoralne teorie, a w Kalifornijskim Zgromadzeniu Ustawodawczym, podczas obrad w sprawie uposażenia rządowego dla uniwersytetu, postawiony został wniosek wydalenia Glucka pod groźbą cofnięcia uniwersytetowi dotocji. Oczywiście żaden z prześladowców profesora nie czytał jego książki: wystarczyła im przekręcona wzmianka gazetarska.

Od tej chwili datuje się nienawiść Emila Glucka do dziennikarzy. Za ich sprawa jego poważna i rzetelnie wartościowa praca sześciu lat stała się celem urągania tłumy. Do dnia śmierci swojej, ku wieczystemu ich żalowi, nigdy im tego nie przebaczył.

Gazety również ponoszą odpowiedzialność za następną katastrofę, jaka na niego spadła. W ciągu pięciu lat po ogłoszeniu drukiem pierwszej swojej książki milczał, a milczenie nie jest bynajmniej dobre dla samotnego człowieka. Ze współczuciem podkreślić należy fatalne osamotnienie Glucka w ludnym uniwersytecie, faktem jest bowiem, że nie posiadał on w nim ani jednego przyjaciela i znikąd też nie doznawał dowodów sympatii. Jedyne jego ucieczką pozostawały książki, czytał też i studiował bezmiernie.

W 1927 roku zaproszono go do wzięcia udziału w obradach Towarzystwa Przyjaciół Ludzkości w Emeryville. Nie ufam dostatecznie swojej pamięci i dzięki temu, pisząc te słowa, mam przed sobą egzemplarz uczonego jego referatu. Napisany jest obiektywnie ściśle naukowo i dodać należy, zachowawczo. W jednym wszakże miejscu — cytuję wiernie jego słowa — mówi o „przemysłowym i społecznym przewrocie, dokonywającym się w społeczeństwie“. Jeden z obecnych na posiedzeniu reporterów podchwycił wyraz „przewrót“, oddzielił go od tekstu i napisał ostre sprawozdanie, piętnując Emila Glucka jako anarchistę. W jednej chwili miano „Profesor Gluck — anarchista“ obiegło po drutach telegraficznych cały świat i zyskało odpowiednią „oprawę“ we wszystkich pismach w całym kraju.

O ile próbował odeprzeć poprzednie napaści prasy, o tyle teraz pozostał wobec nich zupełnie niemy. Gorycz przeżarła już do cna jego duszę. Fakultet wezwał go, aby stanął we własnej obronie, stanowczo jednak odmówił, wzbraniając się nadto przedstawienia kopii swojego referatu celem uratowania się od dymisji. Że zaś sam nie chciał się do niej podać, skreślono go z listy profesorów.

Zaznaczyć należy, że ciało profesorskie z rektorem *na czele* działało w tym względzie pod wpływem nacisku ze strony rządu.

Prześladowany, wyszydzany i opacznie rozumiany samotnik nie próbował nawet rehabilitować się. Przez całe życie grzeszono przeciwko niemu, a on przez całe dotychczasowe życie nie zgrzeszył przeciwko nikomu. Ale przeznaczona mu czara goryczy nie była jeszcze pełna. Utraciwszy stanowisko i pozostając bez wszelkich dochodów, szukać musiał zajęcia. Pierwszą pracę otrzymał w fabryce metalurgicznej w San Francisco, gdzie okazał się bardzo zdolnym projektantem. Tutaj właśnie zdobył pierwszorzędną znajomość budowy okrętów wojennych. Odnaleźli go wszakże reporterzy i tutaj i obrobili odpowiednio. Wycofał się natychmiast i znalazł inne stanowisko. W miarę wszakże, jak reporterzy wygryzali go z szeregu posad, hartował się coraz skuteczniej w niereagowaniu na ich prześladowania.

Odporność tę zdobył już w zupełności w okresie otworzenia zakładu galwanoplastycznego przy ulicy Telegraficznej w Oakland. Był to mały warsztacik, zatrudniający trzech dorosłych robotników i dwóch chłopców. Gluck sam pracował całymi dniami i wieczorami. Noc po nocy stwierdzał stojący na posterunku policjant, że nie opuszczał warsztatu przed pierwszą lub drugą w nocy. Wówczas właśnie udoskonalił działanie zapłonu silników spalinowych i dochody z opatentowania tego wynalazku rychło poważnie go wzbogaciły.

Otworzył swój zakład galwanoplastyczny wczesną wiosną 1928 roku i w tym samym też roku zbudziła się w jego sercu nieszczęśliwa miłość dla Ireny Tackley. Trudno sobie dzisiaj wyobrazić, aby człowiek, tak niezwykły jak Emil Gluck, mógł nie być też niepospolitym w miłości. Poza jego geniuszem, jego osamotnieniem i chorobliwym z natury usposobieniem, wziąć należy nadto pod uwagę, że był on zupełnym ignorantem na punkcie znajomości kobiet. Bez względu na wzbierające w nim żądze nie był wyćwiczony ani w znajdowaniu zwykłego dla nich ujścia, ani w wypowiedaniu swoich uczuć; zaś nadmierna nieśmiałość czyniła jego zaloty zupełnie niezwykłymi.

Irena Tackley była przystojną, ale pustą, lekkomyślną istotą. Pracowała w owym czasie w małej cukierce naprzeciwko warsztatu Glucka. Zachodził często do jej sklepu, aby wpatrywać się w nią przy szklance lemoniady lub porcji lodów. Zdaje się, że dziewczyna nie czuła nic dla niego i jedynie bawiła się nim. "Taki dziwak" — mówiła o nim; czasem znów nazywała go wariatem i opowiadała, jak siedzi przy ladzie sklepowej i wpatruje się w nią spora okularów, czerwieniąc się i bełkocąc, ilekroć zwraca się do niego, i często uciekając pospiesznie w największym zmieszaniu.

Gluck przynosił jej najwspanialsze i zarazem najdziwniejsze podarunki: srebrną zastawę do herbaty, pierścionek brylantowy, futro, lornetę teatralną, wielotomową Historię Świata i bicykl motorowy cały posrebrzany we własnym jego warsztacie. W chwili, kiedy ofiarowywał jej ten prezent, wszedł do cukierni kochanek dziewczyny, kopnął z rozmachem koło i gniewnym tonem nakazał jej, aby zwróciła Gluckowi cały dziwaczny zbiór jego podarunków. Kochankiem tym był William Sherbourne, tępy, gruboszczęki prostak, zbogacony na drobnych przedsiębiorstwach budowlanych. Gluck nie zrozumiał sytuacji. Szukał wyjaśnienia u dziewczyny, starając się o chwilę rozmowy z nią, kiedy wracała wieczorem do domu. Irena poskarżyła się Sherbournowi, który pewnej nocy porządnie obił współzawodnika. O sile i ciężkości pięści Sherbourn'a świadczą sprawozdania Pogotowia Czerwonego Krzyża, w którego szpitalu nałożono Gluckowi tej nocy pierwszy opatrunek i skąd nie był on w stanie przez tydzień jeszcze wyjść, będąc przez cały ten czas przykuty do łóżka.

Gluck wciąż jeszcze nie rozumiał. Stara! się w dalszym ciągu szukać wyjaśnienia u dziewczyny, w obawie przed napaścią Sherbourn'a prosił komendanta policji o pozwolenie noszenia rewolweru, spotkał się wszakże z odmową, a gazety, jak zawsze, wykorzystały fakt ten dla sensacji.

Na sześć dni przed ustaloną datą ślubu Ireny z Sherbournem popełniony został na dziewczynie

mord. Było to w nocy z soboty na niedzielę. Zajęta była do późnego wieczora w cukierni i dopiero po jedenastej wyszła, mając w woreczku swoją pensję tygodniową. Pojechała tramwajem z alei San Pablo na Trzydziestą czwartą ulicę, gdzie wysiadła, aby przejść pieszo niewielki kawałek drogi do domu. Nazajutrz znaleziono ją uduszona na pustym placu.

Emil Gluck został natychmiast aresztowany. Żadne jego tłumaczenia nie mogły mu nic pomóc. Uwięziony został nie tylko na zasadzie okoliczności obciążających, ale na podstawie dowodów sfabrykowanych przez policję. Nie ma kwestii, że znaczna część dowodów przeciwko niemu została sfabrykowana. Świadek kapitań Shetana było najwyraźniejszym krzywoprzysięstwem, ustalono bowiem znacznie później, że w tragiczną ową noc nie tylko nie znajdował się Gluck w pobliżu miejsca zbrodni, ale nie był wcale w mieście, gdyż uczestniczył w zgromadzeniu, odbywającym się w San Leandro.

Skazano go na dożywotnie więzienie w San Quentin, Gazetom i ogółowi publiczności było tego jednak mało; uważano, że wyrok ten był wykroczeniem przeciwko zasadzie sprawiedliwości i że należał mu się wyrok śmierci,

Emil Gluck odsiadywać zaczął więzienie od 17 kwietnia 1929 roku. Liczył wówczas trzydziesty rok życia. W ciągu trzech i pół lat, których znaczną część spędził w samotnej celi, miał aż nadto czasu na rozmyślanie nad niesprawiedliwością ludzka. W tym też okresie gorycz strawiła mu duszę do reszty i odtąd zniechęcił całą siłą ród ludzki.

W ciągu tego samego okresu dokonał on nadto trzech Innych rzeczy: napisał słynny swój traktat: o „Moralności ludzkiej“, wybitną broszurę pod tytułem: „Zdrowy zbrodniarz“ oraz opracował potworny, straszliwy swój plan zemsty. Fakt pewien, mający miejsce w jego zakładzie galwanoplastycznym, podsunął mu myśl o jedynym narzędziu odwetu. Jak stwierdza sam w swoim zeznaniu, opracował podczas pobytu w więzieniu każdy szczegół, tak że bezpośrednio po uwolnieniu mógł przystąpić do urzeczywistnienia niesłychanych, zbrodniczych swoich zamierzeń.

Jego uwolnienie było sensacją dnia. Podległo ono niegodziwej, występnej zwłoce, wynikającej z bezdusznej biurokracji. W nocy 1 lutego 1932 roku Tim Haswell, człowiek pozostający stale pod dozorem policyjnym, został zraniony śmiertelnie przez pewnego obywatela z Piedmontu, na którego dom napadł w celu rabunku. Napastnik żył jeszcze trzy dni i przed śmiercią nie tylko przyznał się do zamordowania Ireny Tackley, ale dostarczył przekonujących na to dowodów. Bert Danniker, jeden ze skazańców, umierający *na* suchoty w więzieniu Folsom, wpłątany był w tę sprawę jako pomocnik. i on również złożył zgodne ze współnikiem zeznanie. Nam, ludziom dzisiejszym, niepojęty wydaje się partacki, powolny wymiar sprawiedliwości, stosowany przez poprzednie pokolenia. Już w lutym stwierdzona została niewinność Emila Glucka, uwolniono go jednak z więzienia dopiero w październiku tegoż roku. W ciągu ośmiu zatem miesięcy ten ciężko skrzywdzony człowiek zmuszony był do odbywania w dalszym ciągu niezasłużonej kary. Nie sprzyjało to bynajmniej słodczy charakteru i pogodzie usposobienia, możemy też łatwo wyobrazić sobie, jaka gorycz przepełniała serce jego podczas tych ponurych ośmiu miesięcy.

Powrócił do świata pod koniec 1932 roku, stając się jak zwykle przedmiotem napaści wszystkich gazet. Zamiast wyrażenia serdecznego żalu z powodu okrutnej pomyłki sprawiedliwości, prowadziły one w dalszym ciągu systematyczną na Glucka nagonkę. Jedna z gazet — „Wiadomości San Francisco“ — posunęła się dalej jeszcze: John Hartwell, jej redaktor, opracował nader pomysłową teorię, opartą na zeznaniach obu zbrodniarzy i wykazującą, że pomimo wszystko Gluck ponosił odpowiedzialność za zabicie Ireny Tackley. Hartwell został zabity. Sherbourne umarł również, zaś policjant Phillips postrzelony został w nogę i zwolniony ze swojego stanowiska.

Śmierć Hartwella pozostawała przez długi czas zagadką. Był w chwili zabójstwa sam jeden w

biurze. Chłopiec na posyłki siedzący w przedpokoju usłyszał wystrzały rewolwerowe i wbiegł zastając Hartwella konającego — na jego fotelu, W największe zdumienie wprowadził policję nie tylko fakt, że Hartwell zastrzelony został kulą z własnego rewolweru, ale że rewolwer wypalił, spoczywając w szufladzie biurka. Kula przebiła na wskroś front szuflady i utkwiała w jego ciele. Policja odrzuciła przypuszczenie samobójstwa, zabójstwo wykluczone było również, jako supozycja zbyt niedorzeczna, i cała wina przypisana została nabojom bezdymnym Towarzystwa „Eureka“. Samorzutny wybuch — tak objaśniła policja — a chemicy Towarzystwa nasłuchali się niemało podczas śledztwa.

Nie znany był natomiast policji szczegół, że w domu przeciwległym wynajęty przez Emila Glucka pokój nr 633 zajęty był też przez niego w momencie tajemniczej eksplozji Hartwellowego rewolweru.

W owym czasie nie podejrzewano żadnego związku pomiędzy śmiercią Hartwella i śmiercią Sherbourną. Ten ostatni zajmował w dalszym ciągu mieszkanie urządzone dla Ireny Tackley i pewnego styczniowego ranka 1933 roku znaleziono go martwego. Śledztwo ustaliło jako przyczynę śmierci samobójstwo, zastrzelony był bowiem z własnego rewolweru. Ciekawym wypadkiem, który wydarzył się tej nocy, było postrzelenie policjanta Phillipsa na trotuarze przed domem Sherbourną. Policjant dowlókł się do telefonu policyjnego i zadzwonił do Pogotowia Ratunkowego. Utrzymał, że ktoś postrzelił go z tyłu w nogę. Noga tak fatalnie pogruchotana była trzema kulami kalibru 38, że zaistniała konieczność amputacji. Stwierdzenie wszakże, iż wystrzał spowodował własny jego rewolwer, wywołało głośny wybuch śmiechu oraz oskarżenie go o to, że musiał być pijany. Pomimo zaprzeczeń jego, jakoby miał mieć w ustach kroplę chociażby alkoholu, i uporczywych zapewnień, że rewolwer leżał spokojnie w bocznej kieszeni i że nie dotknął go palcem, zwolniony został ze stanowiska.

Wyznanie Emila Glucka, złożone w sześć lat później, oczyściło nieszczęśliwego policjanta z hańbiącego zarzutu, żyje też on do dnia dzisiejszego i cieszy się dobrym zdrowiem oraz pokaźną emeryturą, wypłacaną mu przez zarząd miasta.

Po załatwieniu się w ten sposób z bezpośrednimi swoimi nieprzyjaciółmi, poszukał teraz Emil Gluck szerszego pola działania, jakkolwiek wrogi jego stosunek do dziennikarzy i do policji w jednakowym wciąż trwał napięciu. Odsetki z jego wynalazku na ulepszone świece do silników spalinowych wzrosły znacznie podczas jego pobytu w więzieniu i z roku na rok przynosiły coraz większy dochód. Był niezależny, mógł odbywać, jakie tylko zapragnął podróże, a nade wszystko mógł nasycić swój bezgraniczny głód zemsty. Stał się maniakiem i anarchistą — nie filozoficznym anarchistą jedynie, lecz gwałtownym anarchistą czynnym. Możliwe, że wyraz ten nadużywany jest w opacznym znaczeniu i że należałoby raczej określić Glucka jako nihilistę lub anihilistę. Wiadomo, że nie był związany z żadną z grup terrorystycznych. Działał zupełnie samoistnie, szerzył wszakże działaniami swoimi tysiącokrotnie więcej grozy i spowodował tysiącokrotnie więcej zniszczenia aniżeli wszystkie grupy terrorystyczne razem wzięte.

Zasygnalizował swój wyjazd z Kalifornii wysadzeniem w powietrze fortu Masona. W zeznaniu swoim mówi o tym, jako o drobnym eksperymencie — chciał wypróbować tylko — jak się wyraził — swoją rękę. W ciągu ośmiu lat wędrował po świecie, szerząc tajemną grozę, powodując szkody w wysokości setek milionów dolarów i niwecząc niezliczone życia ludzkie. Jedynym dodatnim wynikiem straszliwych jego czynów było szerzenie zniszczenia również w szeregach samych terrorystów. Ilekroć dokonał nowego aktu zemsty, policja robiła zasadzkę na znajdujących się w pobliżu terrorystów i wielu z nich posyłano na stracenie. Siedemnastu stracono w samym tylko Rzymie po zamordowaniu króla włoskiego.

Najbardziej bodaj zdumiewającym dziełem jego ręki było zabicie króla i królowej Portugalii w dzień ich zaślubin. Przedsięwzięte zostały wszelkie możliwe środki ostrożności przeciwko terrorystom i cała droga z katedry do pałacu poprzez ulice Lizbony strzeżona była przez podwójne szeregi żołnierzy, zaś eskorta, złożona z dwustu kawalerzystów na koniach, otaczała powóz.

Nagle stała się rzecz niepojęta. Automatyczne karabinki kawalerzystów zaczęły strzelać, a równocześnie z nimi i karabiny stojących w bezpośrednim z kawalerią sąsiedztwie żołnierzy piechoty. W zamieszaniu i podnieceniu zwrócone były lufy eksplodujących karabinów we wszystkich kierunkach. Rzeź była przeraźliwa — konie, żołnierze, publiczność, król i królowa literalnie podziurawieni zostali kulami. Na domiar złego skomplikowały całą sprawę dwie bomby, ukrywane przez obecnych w tłumie terrorystów, które wybuchły w ich kieszeniach. Zamierzali oni rzucić je, o ile nadarzyłaby się sprzyjająca po temu sposobność. Ale któż mógł wiedzieć o tym? Straszliwe spustoszenie, spowodowane przez pękające bomby, spotęgowało niesamowity obraz grozy; uważano je za przemyślany szczegół ogólnego ataku.

Oszłamiającą wręcz i nie dającą się wytłumaczyć rzeczą było zachowanie się kawalerzystów z ich wybuchającymi karabinkami. Niepodobieństwem było wyobrazić sobie, aby i oni też mieli być w zmowie, a jednakże setki ludzi, a w ich liczbie króla i królową, położyły ich właśnie kule. Z drugiej strony niemniej niezrozumiałym był fakt, że siedemdziesiąt procent samych tych kawalerzystów zostało zabitych lub poranionych. Niektórzy tłumaczyli to w ten sposób, że lojalni żołnierze piechoty, będący świadkami ataku na powóz królewski, zaczęli strzelać do zdrajców. Ani jednego wszakże faktu oczywistego, potwierdzającego przypuszczenie podobne, nie dało się wyciągnąć z ust tych, którzy pozostali przy życiu, jakkolwiek wielu poddano w tym celu najsroższym torturom. Wszyscy utrzymywali uparcie, że wcale nie strzelali ze swoich karabinków i że wypaliły one same przez się. Chemicy wyśmiali ich, dowodząc, że o ile byłoby nawet możliwe, aby pojedynczy nabój naładowany prochem bezdymnym mógł wystrzelić spontanicznie, bezwzględnie nieprawdopodobne jest i niemożliwe, aby wszystkie na danej przestrzeni naboje wypaliły od razu z nie tkniętej ręką ludzką broni.

W ten sposób nie zyskano żadnego wytłumaczenia zdumiewającego faktu. Powszechna opinia reszty świata twierdziła, że cała sprawa była wynikiem ślepej paniki, jaka ogarnęła nerwowych przedstawicieli rasy łaćńskiej i jaką wywołał w samej rzeczy wybuch dwóch bomb, rzuconych przez terrorystów. W związku z tym przypominano sobie też śmieszne spotkanie, na wiele lat przedtem, floty rosyjskiej z angielskimi łodziami rybackimi.

A tymczasem Emil Gluck śmiał się w kułak i szedł obraną przez siebie drogą. On jeden wiedział. Ale skąd mógł świat wiedzieć? Natknął się on po raz pierwszy na swoją tajemnicę w galwanoplastycznym warsztacie przy ulicy Telegraficznej w Oakland. Zdarzyło się w owym czasie, że stacja telegrafu bez drutu została założona przez Towarzystwo Elektryczne Thurston w bliskim sąsiedztwie jego warsztatu. Niebawem jego kadź galwanoplastyczna przestała funkcjonować. Druty kadzi miały wiele uszkodzonych połączeń i, po bliższym zbadaniu, odnalazł Gluck uszkodzenia, wywołujące zwarcia na miejscu połączeń. Uszkodzenia te, osłabiając opór, spowodowały przenikanie przez roztwór nadmiernej ilości prądu, doprowadzając roztwór do „wrzenia“, a tym samym niwecząc pracę.

Co było przyczyną? — zadał sobie Gluck pytanie. Rozumowanie jego było proste. Przed urządzeniem stacji telegrafu bez drutu kadź działała sprawnie. Uszkodzenie jej wystąpiło dopiero po założeniu stacji. Ale w jaki sposób? Jeśli wyładowanie elektryczne może wywołać zwarcie poprzez trzy tysiące mil oceanu, oczywiście wywołać je też może na uszkodzonych połączeniach drutów kadzi wyładowanie elektryczne ze stacji odległej o czterysta stóp zaledwie.

W owym czasie nie myślał o tym Gluck więcej. Zmienił tylko druty swojej kadzi i w dalszym ciągu zajmował się galwanoplastyką. W następstwie wszakże, będąc już w więzieniu przypomniał sobie ów wypadek i błyskawicznie olśniło umysł jego pełne znaczenie tego faktu. Dostrzegł ukryte w nim tajemne narzędzie zamierzonej zemsty nad światem. Jego odkrycie, zatracone wraz z jego śmiercią, polegało na zdobyciu kontroli nad kierunkiem i miejscem wyładowania prądu elektrycznego. W owym czasie stanowiło ono nie rozwiązany problemat telegrafu bez drutu — jak stanowi do dnia dzisiejszego — ale Emil Gluck w swojej celi więziennej opanował to zagadnienie. I po uwolnieniu zastosował je. Było ono dość proste wobec zdolności kierowania prądem, jaką posiadał, a dzięki niej możliwości wprowadzenia iskry do prochowni fortu, do wnętrza okrętu wojennego, do magazynu rewolweru. I nie tylko mógł w ten sposób wywoływać wybuch prochu na odległość, lecz mógł zarazem wzniecać pożary. Wielki pożar Bostonu był jego dziełem — zupełnie przypadkowym zresztą, jak stwierdził w swoim zeznaniu, dodając, że byt to przyjemny przypadek i że nigdy nie miał powodu, aby go żałować.

Strasliwa wojna niemiecko-amerykańska, z utratą 800 000 ludzi i pochłonięciem nieobliczalnych nieomal środków, wywołana była również przez niego. Przypomnieć należy, że w roku 1939 panowały z powodu sprawy Pickarda napięte stosunki pomiędzy obu krajami. Niemcy, jakkolwiek pokrzywdzone, nie dążyły do wojny, posłały więc na znak pokoju następcę tronu z siedmioma okrętami wojennymi w odwiedziny przyjacielskie do Stanów Zjednoczonych. W nocy 15 lutego stały wszystkie te okręty na kotwicy na rzece Hudson naprzeciwko Nowego Jorku. W tę samą też noc był Emil Gluck sam z całym swoim aparatem w szalupie na otwartym morzu. Szalupę tę — jak stwierdzono w następstwie, kupił od Towarzystwa „Barka“, zaś znaczną część aparatów użytych owej nocy nabył od Elektrycznych Warsztatów „Kolumbia“. Wówczas wszakże nie wiedziano o tym. Wiadomo było jedynie, że nastąpiło wysadzenie w powietrze wszystkich owych siedmiu okrętów wojennych, jednego po drugim, w regularnych, czterominutowych odstępach. Zginęło dziewięćdziesiąt procent załogi z następcą tronu na czele.

O wiele lat wcześniej wysadzony został w powietrze w porcie Hawana amerykański okręt wojenny Maine, co spowodowało bezpośredni wybuch wojny z Hiszpanią, jakkolwiek zawsze istniała uzasadniona wątpliwość, czy to wysadzenie w powietrze było dziełem zamachu czy przypadku. Ale przypadek nie mógł wytłumaczyć wysadzenia w powietrze siedmiu okrętów wojennych na Hudsonie w czterominutowych regularnych odstępach. Niemcy przypuszczali, że dokonała tego łódź podwodna i niezwłocznie wypowiedziały wojnę. Dopiero w sześć miesięcy po wyznaniu Glucka zwróciły one Stanom Zjednoczonym Filipiny i Wyspy Hawajskie.

Tymczasem Emil Gluck, zły człowiek i arcywróg ludzkości, w dalszym ciągu pustoszył świat wichrem zniszczenia. Nie pozostawiał po sobie śladów. Ze ścisłą dokładnością naukową oczyszczał je zawsze starannie. Metoda jego postępowania polegała zawsze na wynajmowaniu domu lub pokoju i ustawiania w nim w tajemnicy swojego aparatu, tak udoskonalonego i uproszczonego do owego czasu, że zajmował bardzo niewiele miejsca. Po dokonaniu swojego zamiaru starannie usuwał aparat i w ten sposób mógł bezpiecznie liczyć na długotrwałą bezkarność potwornych swoich zbrodni.

Epidemia postrzeleń wśród policjantów nowojorskich była rzeczą zdumiewającą. Stała się ona jedną z tajemniczych klęsk owego czasu. W ciągu niespełna dwóch tygodni z górą stu policjantów postrzelonych zostało w nogi kulami z własnych rewolwerów. Inspektor Jones nie rozwiązał tej zagadki, jednakże pomysł jego wytrącił w końcu Gluckowi broń z ręki. Za jego poradą przestali policjanci nosić rewolwery i odtąd przypadkowe takie postrzelenia nie zdarzały się już ani razu.

Wczesną wiosną 1940 roku zniszczył Gluck całą flotę, zgromadzoną w warsztatach okrętowych Mare Island. Z pokoju wynajętego w Vallejo skierował promień swojego aparatu poprzez cieśninę

Vallejo ku wyspie. Najpierw posłał iskry swoje na okręt wojenny Maryland, stojący w doku jednego ze składów min. Na przednim jego pokładzie, na wielkiej platformie z desek, spoczywała przeszło setka min, przeznaczonych na obronę Żółtych Wrót. Każda z nich zdolna była zniweczyć tuzin okrętów wojennych, a było tych min z górą sto. Zburzenie było straszliwe, ale dla Glucka stanowiło ono jedynie wstęp do działania.

Skierował błysk swojego aparatu wzdłuż wybrzeża Mare Island, wysadzając w powietrze pięć torpedowców, przystań oraz wielką prochownię na wschodnim krańcu wyspy. Kierując się ponownie na zachód, natrafiając na pojedyncze, samotnie stojące składy na wzniesieniu nieco z dala od wybrzeża, wysadził w powietrze trzy krążowniki oraz okręty wojenne: Oregon, Delaware, New Hampshire i Floridę. Ten ostatni zdążył właśnie wejść do suchego doku i wspaniały dok zburzony został równocześnie z wysadzonym w powietrze okrętem.

Katastrofa była przeraźliwa i dreszcz grozy wstrząsnął całym krajem. Było to wszakże drobiazgiem w porównaniu z tym, co miało nastąpić.

Ku końcowi tego samego roku oczyścił Gluck do cna wybrzeża Atlantyku od stanu Maine do Florydy. Nic nie uszło cało. Forty, miny, wszelkiego rodzaju obrona wybrzeża, stacje torpedowców, składy — wszystko wyleciało w powietrze.

W trzy miesiące później zmiotł Gluck północne wybrzeże Morza Śródziemnego od Gibraltaru do Grecji w ten sam zdumiewający sposób. Jęk rozpacz rozległ się ze wszystkich krajów. Jasne było, że wszystkim tym kierują ludzkie ręce i tak samo jasne było, dzięki bezstronności Emila Glucka, że dziełem zniszczenia nie kierował żaden poszczególny naród. Jedno tylko było wyraźne, że, bez względu na to, kto był twórcą tych klęsk straszliwych, stanowił on najsrozsza dla świata groźbę.

Żaden naród nie był zabezpieczony przeciwko jego potędze. Nie było obrony przed nieznanym a wszechpotężnym wrogiem. Obrona wojskowa była daremna — nie, nie tylko była daremna, lecz tkwił w niej właściwy rdzeń niebezpieczeństwa. W ciągu dwunastu miesięcy zaprzestano fabrykowania prochu oraz wycofano wszystkich żołnierzy i marynarzy ze wszystkich twierdz, fortów i statków wojennych. Rozważano nawet zupełnie poważnie, na zgromadzeniu Konwentu Państw, który obradował w owym czasie w Hadze, sprawę powszechnego rozbrojenia.

Wówczas to Silas Bannermann, tajny agent polityczny na usługach rządu Stanów Zjednoczonych, zyskał sławę wszechświatową ujęciem Emila Glucka.

Zrazu wyśmiano Bannermanna, tak dobrze jednak przygotował on całą sprawę, że zaledwie upłynęło parę tygodni, a zdołał przekonać najzagorzalszych nawet niedowiarków o winie Emila Glucka. Jedyłą wszakże *rzeczą*, której nie umiał Silas Bannermann nigdy wytłumaczyć, dla własnej chociażby satysfakcji, było stwierdzenie pierwszego momentu, w którym przyszło mu na myśl połączenie osoby Glucka z potwornymi zbrodniami.

Prawda, że Bannermann bawił w Vallejo w tajnych sprawach urzędowych w czasie zburzenia wyspy Mare, prawda też, że na ulicach Vallejo wskazano mu Emila Glucka jako osobliwego dziwaka; nie wywarło to na nim wówczas jednak żadnego wrażenia. Znacznie później dopiero, bawiąc na wakacjach w Górach Skalistych i czytając pierwsze ogłoszone raporty o doszczętnym zniszczeniu wybrzeża Atlantyckiego, przypomniał sobie nagle Bannermann o Glucku. I w tej samej chwili olśniła go, niby mgnieniem błyskawicy, myśl o możliwym związku pomiędzy Gluckiem a dziełem zburzenia. Była to jedynie hipoteza, ale wystarczała. Jej powstanie było przeblaskiem genialności, aktem podświadomego myślenia — zatem *rzeczą*, z której tak samo niepodobna było zdać sobie sprawy, jak na przykład ze zrodzenia się w mózgu Newtona zasady ciężenia.

Reszta poszła już łatwo. Gdzie przebywał Gluck w chwili zburzenia całego wybrzeża Atlantyku? — brzmiało pierwsze pytanie, sformułowane przez Bannermanna. Zażądał informacji w tym

przedmiocie. Bardzo prędko udało mu się stwierdzić, że ku końcowi 1940 roku wędrował Gluck w górę i w dół wybrzeża atlantyckiego. Stwierdził również, że Gluck przebywał w Nowym Jorku podczas epidemii ranienia policjantów w nogi kulami z własnych rewolwerów.

Gdzie bawi Gluck obecnie? — brzmiało następne pytanie Bannermanna.

I, jak gdyby w odpowiedzi na to, przyszła wieść o całkowitym zburzeniu wybrzeża Morza Śródziemnego. Gluck odpłynął przed miesiącem do Europy, jak dowiedział się o tym Bannermann. Zbyteczną było dla niego rzeczą osobiste udawanie się za ocean. Za pośrednictwem telegramów i przy współudziale tajnych agentów europejskich śledził on posuwanie się Glucka krok za krokiem wzdłuż całego wybrzeża Morza Śródziemnego i przekonał się, że w każdym wypadku zbiegało się ono z wysadzeniem w powietrze obrony nadbrzeżnej i okrętów. Dowiedział się też, że Gluck wsiadł na Plutonika, okręt linii Zielonej Gwiazdy, odpływający do Stanów Zjednoczonych.

Sprawa cała gotowa była najzupełniej w umyśle Bannermanna, bowiem przez ten czas zdążył opracować i zestawić wszystkie jej szczegóły. Dopomagał mu w tym bardzo zręcznie operator pracujący dla Towarzystwa Telegrafu bez Drutu systemu Wooda. Kiedy Plutonik zbliżał się do Sandy Hook, wysłał mu Bannermann naprzeciw statek rządowy i Emil Gluck został uwięziony.

Proces i zeznanie nastąpiły bezpośrednio po tym. W zeznaniach wyraził Gluck jeden, jedyny żal, mianowicie, że nie zdążył działać szybciej. Gdyby — jak powiedział — mógł przypuszczać, że zostanie kiedykolwiek wykryty, byłby „pracował“ daleko energiczniej i pośpieszniej i spowodowałby tysiąckroć więcej zniszczenia. Tajemnica jego zesła wraz z nim do grobu, jakkolwiek wiadomo teraz, że rząd francuski starał się zyskać dostęp do niego i ofiarował mu miliard franków za jego wynalazek, przy którego pomocy mógł kierować wyładowaniem elektryczności i ściśle ustalić miejsce jego działania. „Co? — zawołał Gluck — sprzedać to, co umożliwiłoby wam ujarzmienie i prześladowanie cierpiącej ludzkości?!“

Ministerstwa wojny wszystkich krajów nie zaprzestawały badań i prób w tajnych laboratoriach, nie udało im się wszakże, do obecnej chwili przynajmniej, najślabszego bodaj rzucić światła na całe zagadnienie i natrafić na najdrobniejszy bodaj ślad tajemnicy.

Emil Gluck stracony został 4 grudnia 1941 roku. Zginął w ten sposób, mając 46 lat, jeden z największych i najniezwyklejszych zarazem geniuszów świata, człowiek o zdumiewającym intelekcie, którego potęga wszelako, zamiast działania w kierunku dobra, tak była znieprawiona i spaczona, że uczyniła z niego najbardziej zdumiewającego, najpotworniejszego zbrodniarza.

Przygotowano na podstawie bookini.pl